



ARSÈNE LUPIN

DŻENTELMEN
WŁAMYWACZ

KOLEKCJA DLA DZIECI

Wydawnictwo Tandum
www.wydawnictwo-tandum.pl

Copyright: © Dariusz Rekosz [2021]

Copyright for this edition © 2021 by Wydawnictwo Tandum

Ilustracje: Natalia Harańczyk
Projekt okładki: Natalia Harańczyk

Skład i przygotowanie do druku: Positive Studio
Redakcja i korekta: Małgorzata Kłosowicz
Korekta techniczna: Positive Studio

Wydanie I
ISBN: 978-83-8233-515-6
EAN: 9788382335156
ISBN e-book: 978-83-8233-516-3

Druk: Edica



NIEOCZEKIWANA ZNAJOMOŚĆ

Na pokład transatlantyku Provence wchodzili ostatni podróżni.

Lato 1925 roku było niezwykle upalne, więc wielu mężczyzn rozpoczynało ten rejs, jakby szykowali się do tenisowych mistrzostw Europy lub wyścigów rowerowych o puchar Republiki. Ubrani w krótkie, aczkolwiek nieco bufiaste spodnie, z eleganckimi skarpetami, sięgającymi do różnych wysokości łydki, wszyscy jak jeden obuci w eleganckie Alvo Al Capone.

Te czarno-białe, lakierowane buty, przywiezione kilka miesięcy temu z USA, stały się hitem mody również w Europie. Noszono je na ulicach Wiednia, Londynu, Berlina, a przede wszystkim Paryża, gdzie zaopatrywała się śmietanka towarzyska większości znamienitszych francuskich miast, w tym również Bordeaux, skąd wypływał



wspomniany Provence. Start w Bordeaux, meta w Nowym Jorku – oby przy sprzyjających wiatrach.

Oczywiście nie tylko mężczyźni wybierali się w ten kilkudniowy rejs. Panie w modnych i zwiewnych sukniach, najczęściej z delikatną parasolką w ręku, stąpały po pokładzie olbrzymiego statku, wystukując obcasami różnorodne rytmy. Przeważały odcienie bieli, trochę błękitu, a gdzieniegdzie pojawiała się różowa koronka i takiego samego koloru rękawiczki. Pasażerowie rozmawiali między sobą, cisnęli się przy burcie, przy której mogli pomachać do bliskich na lądzie, a niektórzy wygodnie rozsiadali się na drewnianych leżakach, przygotowanych przez załogę na górnym występie.

Statek zahaczał okrętowym gwizdkiem i marynarze zaczęli wciągać liny zabezpieczające oba trapy, po których można było przejść na pokład. Zanim jednak uporali się z pierwszym z nich, przez kładkę przebiegł szczupły mężczyzna, przytrzymując słomkowy kapelusz i balansując średniej wielkości walizeczką. Z rozpędu wpadł na młodą kobietę, która przyglądała się temu z lekkim rozbawieniem.

– Och! Przepraszam panią. – Skłonił się, po czym doskoczył do pierwszego z brzegu podoficera, pokazał mu kartę pokładową i podziękował za wskazanie przejścia, które prowadziło wprost do kajuty spóźnialskiego pasażera.

Zanim jednak udał się w tamtym kierunku, ponownie uchylił kapelusza i zwrócił się do młodej damy:

– Jeszcze raz bardzo przepraszam.

– Nic się nie stało – odrzekła z uśmiechem.

Mężczyzna miał na sobie eleganckie białe spodnie, podobnej faktury marynarkę, błękitną koszulę oraz granatową aksamitkę, zawiązaną w kokardę tuż pod szyją. Całości dopełniały wyglancowane buty oraz granatowa kamizelka, w kieszeni której odznaczał się spory zegarek, zawieszony na złotym łańcuszku.

Odstawił na chwilę walizeczkę, przełożył kapelusz do lewej ręki i podał kobiecie otwartą dłoń.

– Jean Andrezy – przedstawił się z lekkim ukłonem.

– Nelly Underdown – odwzajemniła się.

Musnął wierzch jej dłoni ustami, nad którymi czernił się znakomicie wypielęgnowany wąsik.

– Underdown? – Otworzył szerzej oczy, prostując się przed damą. – Czy to pani ojciec zarządza koncernem Kodaka?

– Owszem. – Uśmiechnęła się. – I jest nieprzyzwoicie bogaty. Och! Nie chciałabym, aby



źle mnie pan zrozumiał, ale od kilku lat walczę o to, by nie być postrzeganą przez przyzmat mego ojca. Nie chcę, żeby mówiono o mnie „O, idzie ta Underdown... z TYCH Underdownów... A jej ojciec to ten magnat od Kodaka”.

– Rozumiem. – Pokiwał głową i uniósł palec wskazujący. – Chwileczkę...!

Przykucnął i sprawnie otworzył swój neseserek. Od razu też wydobyl z niego niemal sześciennej aparat Eastman Kodak – model z początku roku. Uniósł go na wysokość twarzy.

– Robi świetne zdjęcia, miss Underdown! – zaśmiał się.

– Wolę, gdy ludzie zwracają się do mnie po imieniu...

– W takim razie – przerwał, chowając aparat, po czym wyprostował się i złapał Nelly za łokieć – natychmiast zapraszam panią do bufetu, gdzie przy barze możemy dopełnić formalności i wychylić tradycyjny brudersaft.

Uśmiechnęła się szeroko i nagle Provence wydał głośny ryk okrętowy, wychodząc na pełne morze. Wystraszona, odruchowo przywarła do Jeana. Zaśmiali się i spojrzeli sobie w oczy.

– Zgoda. – Zamrugła. – Dam tylko znać mojej przyjaciółce, lady Jerland, że zostałam uprowadzona.

– Lady Jerland?

– Tak, Jerland Crosby. Nie myślał pan chyba, że podróżuję sama? Ojciec nigdy by się na to nie zgodził.

– Po co niepokoić biedną Jerland? – zapytał, podnosząc swój bagaż.

Nelly nie odpowiedziała, tylko pomachała w kierunku drugiej burty. Kobieta w bordowej sukni odmachała równie energicznie i ruszyła w ich stronę.

– Będzie musiała się do nas przyłączyć? – wyszeptał.

– Nie sądzę – równie cicho odparła młoda dama. – Proszę mi zaufać.

Gdy lady Jerland podeszła do przyjaciółki, ta bez mrugnięcia wypaliła:

– Moja droga, właśnie zostałam porwana przez tego przystojniaka.

– A to nawet dobrze się składa. – Jerland klasnęła w dłonie.

– Dobrze?

– Tak, ponieważ założyłam się z jednym z oficerów, że ogram go w szachy. – Porozumiewawczo puściła oko.

Zaśmiały się.

– To jest pan Jean Andrezy. – Nelly wskazała na swojego „porywacza”.

– Zaraz, zaraz! Andrezy! Czy to nie pan jest tym człowiekiem, o którym pisały wszystkie gazety jakieś pół roku temu? Czy to nie pan uratował kapitana...

Nie pozwolił jej dokończyć.

– Stare dzieje. – Machnął ręką. – Żadne bohaterstwo.

– Ale czytałam...

– Wie pani... Dziennikarze piszą różne rzeczy. Dziś interesuje ich coś zupełnie innego. A właściwie nie coś, tylko ktoś.

– Kto?

– Arsène Lupin. Nasz, o ile można tak rzec, narodowy dżentelmen-włamywacz.

– Och, oczywiście! Słyszałam o nim. Podobno francuska policja nie może go ująć.

– Ba! Myślę, że nawet gdyby poprosić o pomoc angielski Scotland Yard i amerykańskie Biuro Śledcze, to i tak niewiele by to pomogło.

- Pan go podziwia?
- Powiedzmy, że mu... kibicuję, tak?
- Musi być jakiś sposób, żeby go ująć – zapaliła się.
- Podobno wszyscy najwięksi włamywacze, rabusie i rozbójnicy wpadali przez... kobietę. Więc kto wie... – Uśmiechnął się.
- Moja droga – wtrąciła się Nelly – nie traćmy czasu.
- Oczywiście – przytaknęła Jerland. – Muszę jeszcze odszukać okrętowego chłopca, który przeniósłby nasze walizy. – Zaczęła rozglądać się po pokładzie.
- Jeżeli pani pozwoli... – Jean ponownie uchylił kapelusza. – Mój bagaż – wskazał na neseserek – także jeszcze nie jest na miejscu. Proszę zdradzić numer kajuty, a zajmę się tym osobiście. Przeniosę i swoją, i wasze walizki.
- Ale czy to wypada? – zmartwiła się Nelly.
- Skoro chce pani być inna niż ojciec...
- Zgoda! – Uśmiechnęła się szeroko. – Kabiną 323. Walizki ułożyliśmy na tamtym wózku. – Wskazała na podręczny pojazd, którym wwożono bagaż po trapie. – Są oznakowane złotym inicjałem „U”. Na pewno je pan znajdzie.
- Oczywiście! – zapewnił i pobiegł po bagaże.

Obie kobiety odprowadziły go wzrokiem, po czym Nelly zwróciła się do Jerland:

- Szachy?
- Tak – odparła szybko. – Założyliśmy się o kilogram czekolady Anglas. Rozumiesz?! Cały kilogram!
- A on wie, że trzykrotnie zdobyłaś mistrzostwo Burgundii?
- Ależ skąd. I nie zamierzam go o tym informować.
- Wybuchły piskliwym śmiechem.